

- Leszek ma nieograniczoną wyobraźnię muzyczną i styl gry dany od Boga, bo tego się nie da do końca wypracować. Wierzę, że pewnego dnia wszyscy oszaleją na punkcie jego muzyki, tak jak ja dawno temu. Jego pianistyka ma tę samą wartość, co pianistyka największych tego świata - mówi Anna Maria Jopek.

- To wielki indywidualista, fenomenalny muzyk, dla mnie po prostu geniusz - twierdzi Urszula Dudziak.

Nim ukończył wyższą uczelnię, już grywał z bardzo dobrymi muzykami. Mimo to przez wiele lat sam musiał być akwizytorem własnej sztuki. Czuł się niespełniony, czekając na telefony oferujące współpracę. Nie był z siebie zadowolony. Wystarczyło, że włączył pierwszą lepszą płytę z pierwszym lepszym pianistą jazzowym i widział przepaść, która ich dzieli. Te czasy minęły. Pozbył się już kompleksów nawet w stosunku do muzyków amerykańskich. Zawsze chciał grać tak, jak oni. Czarną, drapieżną, zagmatwaną muzykę.

- W Nowym Jorku usłyszałem z pięćdziesięciu pianistów grających w ten sposób. Ale żaden z nich nie miał takiego uderzenia, jak ja - zapewnia.

- To typ wrażliwca, dla którego muzyka jest wybawieniem. Pamiętam, że podczas trasy koncertowej prawie nie mieliśmy z nim kontaktu. Z powodu bólu

Są takie chwile na koncertach, kiedy przekracza pewną barierę. Muzyka przestaje należeć do niego, nabiera własnej energii. **Leszek Możdżer**, jazzowy artysta fortepianu, jest coraz szczęśliwszy. Wierzy, że nawet bolesne i złe doświadczenia są niezbędne, by iść dalej drogą duchową

Dynamit w palcach

Tekst: Lidia Butowska Zdjęcia: Krzysztof Opaliński



kręgosłupa czuł się tak źle, że leżał w busie i spał. Budził się tylko na koncerty. I miał taki ładunek wybuchowy w palcach, że nikt by nie uwierzył, że przez cały dzień walczył z bólem – wspomina Anna Maria Jopek.

Nie pisze do szuflady, tylko na zamówienie. Przyznaje, że gdyby nie termin, niczego by nie skończył z powodu lenistwa. Znajomi twierdzą, że jest pasjonatem i człowiekiem idei. Kobiety prawdopodobnie nie mają z nim łatwo. Bo gdy już jakaś idea zaczyna świtać w jego głowie, nic nie może z nią konkurować. Kiedy przed rokiem pisał muzykę do transopery „Sen nocy letniej” według Szekspira, wyłączył się całkowicie z normalnego życia. Bywały dni, że nie kąpał się i nie golił. Dopiero, gdy po kilku miesiącach skończył pracę, zauważył, że depcze po nieotwartych listach, wyciągach bankowych i niezapłaconych rachunkach. I że odcięto mu gaz i telefon. – Miałem mało czasu na ten projekt, musiałem się skupić – tłumaczy.


Karmienie marzeń

Pamięta swój pierwszy pobyt w Berlinie. Pojechał z kolegami ze szkoły. Ich wzrok przyciągała każda limuzyna z metalicznym lakierem. W jednej z nich usłyszał po raz pierwszy przejmujący ton trąbki Milesa Davisa z płyty „Kind of Blue”. Pomyślał, że chciałby kiedyś zagrać taką muzykę. I że to jedna z najpiękniejszych rzeczy, z którymi się zetknął. Uważa tak do tej pory, choć przesłuchał tysiące płyt. Wiele z nich ma w swoim niewielkim mieszkaniu, w położonej blisko morza przedwojennej willi w Sopocie. Zarzeka się, że tego lokum nie pozbędzie się nigdy. Jest jego pierwsze i własne. Nie przeszkadza mu to marzyć o własnych mieszkaniach w paru miastach świata. I o tym, żeby do każdego z nich pasował ten sam komplet kluczy.

O innych marzeniach nie chce mówić. Żeby się spełniły, musi jeszcze pokarmić je swoją energią. Hołubić i pieścić ich obrazy w umyśle, żeby wzrastały. I wtedy się wydarzą. Tak jak wydarzył się wspólny koncert z Buserem Williamsem. To był jeden z najpiękniejszych momentów w jego życiu. Popłakał się wtedy ze szczęścia.

Potrafi wzruszyć się rozmową, fragmentem filmu, zasłyszana gdzieś frazą. Porusza go nie tyle forma, ile emocje. Gesty, słowa i wszystko, co się wiąże z miłością do drugiego człowieka. Słowo „miłość” należy do kluczowych w jego słowniku. Naprawdę ważnych osób ma w życiu ze cztery. Dzięki nim wie, jaki kierunek obrać i czego się trzymać. Ale słowo „kocham” w jego wydaniu odnosi się zarówno do rodziców, dziewczyny, jak i do menedżera, fana, publiczności.

Długo zazdrościł tym, którzy mówili: „Mieszkałem dwa lata w Londynie, potem w Nowym Jorku i w Paryżu”. Spakował się więc i pojechał do Warszawy, żeby przeżyć



coś podobnego. Wynajął kawalerkę, ustawił komputer i telewizor. – Długo nie wytrzymałem, bo w Warszawie ludzie chodzą po ulicy z innego powodu niż w Sopocie. Chodzą po to, żeby zrobić biznes, zarobić, sprawę jakąś załatwić. A w Sopocie – po prostu zwyczajnie gdzieś idą. I bardziej mi się to podoba – mówi.

Energia dźwięków

Pochodzi z Gdańska. Na chrzcie dostał imię Lesław. Gdy na jednej z jego pierwszych płyt pojawił się napis: „Leszek Możdżer”, próbował protestować u producenta.



Ale dla wielu ludzi tak już zostało. Poszedł więc do urzędu i załatwił formalności. Pewna wiedźma powiedziała mu nawet, że numerycznie nowe imię jest dla niego korzystniejsze. Nie wspomniała o dacie imienin. I dobrze, bo nigdy nie przywiązywał do tego wagi.

Pierwsze lekcje gry na pianinie zaczął w wieku 5 lat, gdy tylko w domu pojawił się instrument. Do szkoły muzycznej dojeżdżał codziennie 11 kilometrów. Sam, a w zasadzie ze stoczniovcami wysiadającymi na tej samej stacji trójmiejskiej kolejki. Rodzice, oboje inżynierowie, tworzyli stabilny, mieszczański dom.

Mieli co do syna inne plany. Woleli, żeby grał klasykę, jazz nie budził ich zaufania. Syn jednak słuchał po nocach jazzu i rocka. I choć do tej pory kocha muzykę klasyczną, od zawsze wiedział, że w improwizacji jazzowej wyrazi się najpełniej. Gdy zaczął dostawać nagrody, a w prasie coraz częściej pojawiały się notatki o jego sukcesach, rodzice przyznali, że miał rację.

- Dobra improwizacja polega na umiejętnym budowaniu z tego, co się wydarza. Każdy dźwięk, który zagram, inspirowanie następnego, prowadzi mnie dalej. Podążanie za dźwiękami jest najważniejsze - tłumaczy. ▶

Czasem kładzie na struny różne tkaniny lub przedmioty. Po co? Po to, żeby nie zanudzić publiczności i samego siebie brzmieniem jednego instrumentu. Żeby pod względem brzmienia na koncercie wydarzyło się jak najwięcej.

- Leszek ma nieprawdopodobną technikę klasyka. W każdej jego frazie czuje się wiedzę i mądrość sięgającą samych korzeni muzyki. On z nicości potrafi wydobyc muzyczną historię. Oprócz jazzowej otwartości ma umiejętność grania pięknej kantyleny (melodii), co w dzisiejszych czasach rytmu i motoryki jest rzadkością - zapewnia Anna Maria Jopek.

Raz na jakiś czas, bardzo rzadko, czuje, że przekracza na koncercie pewną barierę. Osiąga stan takie-

go zaangażowania w muzykę, że ona już nie należy do niego ani do muzyków, z którymi gra. - Patrzę wtedy na moje dłonie albo na dłonie kolegów i dowiaduję się z klawiatury, co się właściwie wydarza. Energia muzyki jest wtedy większa niż nasza - opowiada.

Chciałby grać tak pięknie, żeby mu po prostu łeb pękł! I serce! Czy są ludzie, którzy tak grają? Jeszcze ich nie spotkał. Czy dużo jest tych, którzy grają lepiej od niego? Nie, niedużo. Ale od każdego artysty można się czegoś nauczyć. Jak od Bo Stiefa, duńskiego jazzmana po siedemdziesiątce. Siwego pana kochającego muzykę i bawiącego się nią z radością dziecka. Leszek Możdżer uważa jednak, że aby być dobrym artystą, wypadałoby też trochę się zanurzyć w brudzie życia.



Bo człowiek ze sceny, który nie doświadczył bólu, jest niewiarygodny. Czy on sam dużo o nim wie? – Tyle, ile trzeba w wieku 32 lat – odpowiada.

Kiedy Bóg nie ma wyjścia

W 1996 roku nagrał płytę „Talk to Jesus”. Uważa, że Boga należy szukać nie na zewnątrz, ale w sobie. Bo Bóg jest w każdym z nas. Przekonało go zasłyszane gdzieś zdanie, że tak naprawdę zawsze modlimy się do siebie, że Bóg jest nieskończonością w nas samych. Wcześniej nie miał odwagi tak myśleć. Został wychowany w wierze katolickiej i jest nią mocno przesiąknięty, ale nie do końca czuje się katolikiem. W poszukiwaniu Boga podąża własną, wąską ścieżką.

– To droga bez końca, ale mam poczucie, że kroczę nią do przodu. Jestem coraz spokojniejszy, bardziej pogodzony ze sobą, coraz szczęśliwszy. Ale, jak każdy, mam jeszcze dużo do zrobienia – mówi. I rytmicznie uderza palcami o blat stołu, jakby właśnie zaczynał grać skomplikowany utwór.

Skąd ten spokój? Z przeświadczenia, że rzeczywistość staje się dla niego coraz bardziej harmonijna. Dużo w niej tzw. zbiegów okoliczności, magicznych wydarzeń i pragnień, które się szybko manifestują i spełniają. Jest przekonany, że nawet bolesne i złe doświadczenia okazują się po pewnym czasie niezbędne, by pójść dalej drogą duchową. Bo czymże innym było ocknięcie się na ulicy w pozycji horyzontalnej bez ▷



jednego zęba? Było mu to potrzebne po to, żeby nie nadużywać „pewnych substancji”. - Obserwując narkomanów na dworcu, sądziłem, że świat jest niesprawiedliwy. Myślałem wtedy, gdzie jest Bóg, który pozwala, żeby człowiek doprowadził się do takiego stanu?! A teraz wiem, że ten człowiek, który wstrzykuje sobie narkotyki w żyłę, sam siebie karze, a Bóg nie ma wyjścia.

Wielcy muzycy, których spotkał, zawsze okazywali się ludźmi rozbudzonymi duchowo, na wskroś metafizycznymi. Mającymi poczucie, że rzeczywistość to coś więcej niż tylko ciało, grawitacja i rachunki do zapłacenia. On też jest o tym przekonany. Interesuje go poszukiwanie prawdy, ale techniką, która temu służy, nie jest medytacja ani czytanie podręczników samorealizacji. Może trochę mu pomogły, ale już nie sięga po nie. Odkąd się przekonał, że niemal każdy może wydać książkę, stracił szacunek do słowa drukowanego. W ogóle mało czyta. - Lubię myśleć i przeżywać życie. Doświadczając emocji, które niesie - mówi. I zaraz dodaje: - Co ja gadam! To przecież straszny banal! I znów bębni palcami po niewidocznej klawiaturze.

Żółte spodnie

Zamówień ma tyle, że często brakuje mu wolnego terminu. Chcą z nim współpracować zarówno jazzmani, jak raperzy. Filmowcy i reżyserzy teatralni. Wie, ile jest wart, ale dla przyjaciół albo dla wartościowego projektu jest w stanie pracować za niewielkie pieniądze. Twierdzi, że przez całe lata nieumiejętnie je wydawał, bo nie umiał wykorzystać ich potencjalnej mocy. Przeplacał, nie potrafił wymagać od ludzi, których wynajmował. Dowartościowywały go zakupy w drogich sklepach i obiady w jeszcze droższych restauracjach. Dziś przyznaje, że były to po prostu kompleksy. - Wydawało mi się, że jestem już taki bogaty. A tak naprawdę świadczyło to o biedzie i o tym, że czułem się kimś gorszym. Teraz staram się wiedzieć, ile mam na koncie i na co mogę sobie pozwolić. Źle wydane pieniądze zemszczą się prędzej czy później - twierdzi.

Na co dzień nie ubiera się już tak ekstrawagancko, jak kiedyś. Ale żółte spodnie i inne kolorowe ubrania nadal wiszą w szafie gotowe, by je włożyć. Nie są mu już jednak potrzebne do manifestowania własnej oryginalności. Co więcej, kiedy ostatnio przegląda się w lustrze ubrany zbyt wesoło, ma wrażenie, że jest za stary na takie fatałaszkę. Za to na występ wciąż lubi się odstawić. Kolorowo i oryginalnie, bo to przecież kostium sceniczny.

Przekonał się, że nie opłaca się popisywać przed publicznością. Lepiej dzielić się tym, co ma się w sobie najlepszego. A to na pewno wróci, czy w formie pieniędzy, czy w jakiegokolwiek innej. Wychodzi więc na scenę, sia-

da do instrumentu i stara się zagrać jak najpiękniej. Z wielką pokorą, która została mu jeszcze z egzaminów w szkole muzycznej. Bierze się ona z poczucia, że na sali siedzi ktoś, kto zna się na muzyce lepiej niż on. I tego jednego człowieka nigdy nie oszuka. - Najważniejsze to mieć odwagę być sobą, sięgnąć po swój własny geniusz i pełen rozkwit! Głosy pochlebne mnie budują, ale i tak wiem, że stać mnie na wiele więcej. I kiedyś to się wydarzy. Zamanifestuję siebie w formie kompozycji, płyty czy koncertu. Czegokolwiek - zapewnia.

Nie zawsze udaje mu się porwać publiczność. Niedawno zagrał w prestiżowym miejscu na imprezie prestiżowej firmy. I nikt go nie słuchał. No nikt. Gości bardziej interesowały biznesowe rozmowy i stopy sałatek. Poćwiczył przez chwilę gamy i zszedł ze sceny. - To było dla mnie potężne oświecenie. Grać powinno się tylko dla tych, którzy chcą słuchać, a wiersze pisać dla poetów - twierdzi.

Nie odpuszczę!

W wywiadach prasowych od lat powtarza: „Wierzę, że czeka mnie dobry związek”. Mówi o rynku samotnych samców i samotnych samic. O castingu, który cały czas się odbywa, ale trudno rozpoznać jego zasady. Czy robi coś w tym kierunku, żeby kogoś znaleźć? - Ja w tym kierunku nagrałem już ponad 70 płyt. Są jak znalezienie terenu, zostawianie po sobie śladów - tłumaczy.

- Lesiu jest kochanym, ciepłym i bardzo szanowanym kolegą. Nie słyszałam, żeby ktoś powiedział o nim złe słowo - mówi Urszula Dudziak. Inni znajomi dodają, że jest nieprzeniknionym światem, który odkrywa siebie tylko w muzyce. - Moja muzyka nie jest taka, jak ja jestem, ale taka, jakim chciałbym być. Pięknym, szlachetnym, bezinteresownym, pełnym miłości człowiekiem. Przynoszącym pokój, zrozumienie, poczucie, że warto żyć. Bycie takim człowiekiem oznacza ciężką pracę. Ale ja nie odpuszczę! To, co się dzieje na świecie, te wojny i zabijanie, jest nie do przyjęcia. Mam paru przyjaciół, którzy myślą podobnie. Wierzę, że będzie nas więcej, że stworzymy lepszy świat, w którym ludzie będą żyli jak ludzie, nie jak zwierzęta. To jedyne wyjście, żeby ten świat nie zginął. Na sugestię, że jest idealistą, odpowiada: - Chcę nim być. Ktoś musi. □

Leszek Możdżer - absolwent Akademii Muzycznej w Gdańsku. Pianista, kompozytor, aranżer. Laureat wielu prestiżowych nagród na konkursach i festiwalach jazzowych. Współpracował z takimi wybitnymi muzykami, jak Zbigniew Namysłowski, Zbigniew Preisner, Tomasz Stańko, Michał Urbaniak, Pat Metheny, Billy Harper, David Friesen. Wydał ponad 70 płyt.

